

Poza siecią też można
mieć swój profil

KSIĄŻKA TWARZY

MAREK BIENIŃCZYK

KSIĄŻKA
TWARZY

KSIĄŻKA TWARZY

MAREK BIENIŃCZYK

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Ludwik Janion

Redakcja techniczna
Małgorzata Jużwik

Korekta
Tadeusz Mahrburg
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Marek Bińczyk 2011
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

ISBN 978-83-247-2668-4
Nr 45107

Spis treści

Vita brevis

Initiatica

Winnetou

Sportiva

Światło bramki

Naszym przyjacielem jest

Oczko Borga

Czempion odchodzi

Światło bramki

Melancholica

O trzy drinki z tyłu

Nie dla mnie sznur samochodów

Samotny jak szczur, ostatni z kloszardów

Sensualica

Anioł w Wiedniu

In vino fabula

Picturesca

Twarz Beenhakera
Twarze, dmuchawce
Światła miasta
Przeświałone medytacje
W imadle świata

Romantica

Wielki Narrator
Kłamiecie, wszyscy kłamiecie!
Maniakalna potrzeba idei
Hrabia urynkowiony
Poeci odchodzą

Geografica

Absurde Traveller
Droga do Ostendy
Z niepewnej krainy
Nicea
Kłątwa graniczna
Ach, jak przyjemnie

Translativa

Chirurg wiecznie żywy
Fragmenty posłowania miłosnego

Romanesca

Braciszek
Granica szwajcarska
Ulica Szkolna
Nota od wydawcy

Vita brevis

Pisz, ale też trochę żyj. Pisz, ale nie zapomnij o życiu, tak szybko mija. Pisz, lecz korzystaj z życia, bo nie warto go tracić. Kto – z piszących i żyjących – nie słyszał takich i podobnych rad, kto ich sam sobie nie udzielał, siebie nimi nie łudził, nie torturował? Jest czas pisania i czas istnienia, mówią one, zastanów się, tu jeszcze czeka na ciebie las, tam morze.

Owszem, jakże często „prawdziwe” życie wydaje się leżeć po drugiej stronie, już nawet w pokoju za ścianą, w którym nie ma książek, na ścieżce, na której czeka rower, na nieznanym lotnisku, na którym wylądaje za chwilę samolot. Jednak ciało pamięta, budzi się w środku nocy i w mroku zamiast nas wymyśla do kolejnej strony zdanie, z którego rano pozostaną na ogół strzępki. Ciało pamięta; gdy tylko wstaje, włącza jednocześnie, machinalnie, nim jeszcze ustanie ziewanie, ekspres do kawy i komputer; ciało pamięta i choć wykonuje jakieś czynności, kroi chleb, odbiera telefon, to całe zapada się w tekst, jaki właśnie piszemy.

I tak życie przechodzi, jakkolwiek krótkie by było, kruche i wciąż nie dość używane. Nie da się oddzielić obu porządków; tego, co fizyczne, od tego, co wysłowione, ciała od zdania, nie da się żyć bardziej, pisać mniej, i to nie z powodu wiary w słowo,

któremu by się wszystko podporządkowywało (nigdy siebie o nią nie pytam), lecz z powodu czegoś bardziej podstawowego, niewysłowionej konieczności: tak już jest, tak musi być, tak będzie wyglądała do końca ta *vita*. *Vita, vita brevis* – życie przeżywane, chcąc nie chcąc, dla słowa, które z niego wyniknie, na dobre i na złe, na mądre i na głupie.

Vita romantica, picturesca, romanesca czy sportiva, nie, gdy piszę (i trochę żyję), nie buduję hierarchii, nie myślę, że coś jest ważniejsze, coś mniej, coś „oficjalne”, a coś dla „zabawy”. Słowa przychodzą, jak chcą, wypełniają dzień kapryśnie, przelewają się na ekran według rytmu, który nie w pełni umiem pojąć; niech więc choć raz trwają obok siebie, bez określania ich wagi. Powstały w różnych okolicznościach*, w różnych chwilach, dla różnych celów, z różnych inspiracji, z różnych dotknięć dnia (nie napisałbym tekstu o Rolandzie Barcie, gdybym tamtego ranka nie szedł ulicą, na której wpadł pod ciężarówkę; nie pisałbym o wielkim melancholijnym natręciu Conradzie Moricandzie, gdybym sam nie zamykał drzwi przed intruzem, nie pisałbym o André Agassim, gdybym nie spędził tylu godzin na korcie), ale powstały wszystkie w jednym miejscu, naprzeciw klonu za oknem, przy jednym biurku, na którym brunatne słoje rysują niezrozumiały wzór. Bo też *vita romanesca, picturesca, romantica, translativa czy sportiva* to różne oblicza jednej twarzy, książka twarzy, do której powstania potrzebne są twarze innych, twarze, w których zobaczyć można własną.

Zbierając te różne rozsiane teksty i dopisując nowe, spostrzegłem, że łączy je jeszcze jedno: w większości pojawia się – to na

* Niech Piotr Mucharski i Michał Okoński z „Tygodnika Powszechnego” i Piotr Sommer z „Literatury na Świecie” zechcą przyjąć podziękowania. Już oni wiedzą za co.

wierzchu, to w ukryciu – temat idylli, czyli tęsknoty za nią, tak jakby wszystkie słowa, innych i moje, dążyły do wspólnego jasnego kręgu, w którym mogą przez krótką choć chwilę trwać w szczęśliwej ciszy, siedzieć cicho jak cukierki w kieszeni.

Initiatica

Winnetou

Indianinem zostawało się dosyć szybko, w wieku ośmiu – dziewięciu lat, gdy Koziółek Matołek przestał wyrażać całość naszego jestestwa. Maciek nie został, wolał być Old Shatterhandem. Podział wydawał się naturalny; Maciek był wyższy, silniejszy ode mnie, bardziej oczywisty, pięść miał istotnie nieliczą. Tyle że bał się widoku własnej krwi; do przymierza – opisanego w pierwszym tomie – dość długo nie dochodziło. Wreszcie któregoś dnia przyleciał tryumfalnie z rozciętym przy grze w pikuty palcem. Szybko naciąłem swój, krew zmieszała się niehigienicznie i na wieki: przyjaźń trwała do końca szkoły. Kilka miesięcy później napisałem powieść o przyjaźni bardzo młodego Indianina z bardzo młodym Białym; czerwonoskóry pochodził z Czarnych Stóp, biały z Kentucky. Maciek, dobry w rysunkach, ilustrował ją kredkami. Pamiętam, że pierwsze zdanie powieści miało wybuchową siłę. Było krótkie: „Świtało”.

Kazałem siebie nazywać Winnetou, dziewczyny nie mogły tego wymówić, nie bardzo znały faceta. Kolejny przydomek, parę lat później, też się nie przyjął; są ludzie, do których nic się nie przykleja. Chciałem być „Sewerynem”; dzisiaj uzmysławiam sobie, że Krajewski i Winnetou pozostają w jednym, nieco melancholijnym

paradygmacie i że w fantazmatach byłem konsekwentny i radykalny do granic. Rozumiał to chyba ojciec; na dziesiąte urodziny przysłał mi nad morze, do Władysława, gdzie spędzałem wakacje, kompletny strój indiański, łącznie z peruką, kupiony w Domach Centrum. Czołgałem się po wydmach, paradowałem po uliczkach, mając frędzlami i potrząsając pióropuszem; któregoś dnia zatrzymał się przy mnie samochód, kierowca zapytał: – Jako tubylec wiesz zapewne, którądy dojechać na kemping? – Zdanie niczym z powieści Woroszylskiego (*I ty zostaniesz Indianinem*), ludzie mieli jeszcze literackie poczucie humoru. Na moje dwunaste urodziny ojciec umówił się na kawę z Sewerynem Krajewskim (po prostu: zadzwonił z głupia frant do hotelu, spotkali się i pogadali). Wrócił do domu z podpisanym fotosem i listem z życzeniami. To było apogeum moich nielicznych inkarnacji; koledzy przeszli później na piłkarzy (Gadocha), na poetów (Norwid, Baczyński), ja zacząłem już powoli wracać do siebie, do tożsamości niezapelnionej różnymi alter ego; właściwie nie bardzo miałem kim Winnetou zastąpić.

Najbardziej oczywiste kryterium, które narzucał nam wizerunek Winnetou, było wprost etyczne. Nie chodziło o zwinność, spryt, waleczność czy sokoli wzrok (tak, umiał dostrzec z kilkuset metrów włócznię zawieszoną na drzewie). Winnetou przekazywał wartości podstawowe: wierność, szczerść, prawość, sprawiedliwość, szlachetność. Karol May pisał swoje powieści w chwili, gdy z jednej strony mocno rozwijała się literatura humanistyczno-patetyczna, najpełniej zwieńczona przez Romain Rollanda i jego skrajnie nieznośne książki typu *Jan Krzysztof* (1905, dziesięć lat po ostatnim tomie *Winnetou*), a z drugiej podróżniczo-poznawcza, spływająca z takich piór jak Jules'a Verne'a. Amerykańskie dzieło Maya łączy obie w przyzwoitej równowadze. W przeciwieństwie

do Verne'a, pisarza kompletnie bez języka, śpieszącego się ze zdania na zdanie, ze wspaniałymi, ale nagimi pomysłami, May miał nieco stylu; w przeciwieństwie do „humanistów” miał dobre tło oraz konkretne historie do opowiedzenia. Swego ulubionego Coopera transponował na płytko, metafizyczne głębie natury i ludzi, ich szekspirowskie dzieje, zastępował atrakcyjną jednoznacznością; ludzie byli jeszcze bardziej dobrzy lub jeszcze bardziej źli, przyroda bogata, lecz nie samoistna i nie tak drapieżna.

Czytaliśmy *Winnetou* jako lekcję moralności; na świecie toczyła się walka, źli dybali na dobrych, dobrzy mieli jasne dusze i ustalone zasady. Racja była (w naszym odczuciu) po stronie Indian; biały okazywał się szlachetny – jak Old Shatterhand – tylko wówczas, gdy przystawał do nich lub uznawał ich prawa, gdy miał odwagę podważać przywileje swego stanu, odrzucić własną pychę. Co prawda w posłaniu przedśmiertnym Winnetou głosi braterstwo wszystkich ludzi, czyniąc aluzję do Chrystusa i obwieszając się chrześcijaninem: May kroi świat wzdłuż, nie w poprzek ras; zło i dobro zdarzały się po obu stronach, przeklętych Komanczów czy Ogellallajów na zawsze naznaczył stygmat zbrodni, lecz jego proindiańskie sympatie wydawały się oczywiste. Zakończenie *Winnetou* jest swoistym remakiem zakończenia *Ostatniego Mohikanina*; końcowe zdanie brzmi: „A gdy kiedyś szczątki ostatniego z Indian zgniją w zaroślach i w wodzie, wtedy szlachetnie myślące i czujące pokolenie stanie przed sawannami i górami Zachodu, i zawoła: Tu spoczywa czerwona rasa; nie stała się ona wielką, gdyż nie dano jej osiągnąć wielkości”. Karola Maya wspierał dla nas i dopowiadał Arkady Fiedler ze swoim *Małym Bizonem*, drugą ważną lekturą. Westerny przedstawiające białą wersję historii i – póki nie przyszła ich nowa, protubylcza fala po 1968 – tryumfalnie wyścielające ekran trupami Indian bandytów, a nie ofiar,

odbieraliśmy jak policzek; my znaliśmy moralną prawdę i byliśmy jej strażnikami. Gdy na koloniach pozwalano nam obejrzeć *Dyżżans*, ku zdziwieniu sali dopingowaliśmy szarżujących dziko i okrutnie Indian, byliśmy gorzcy, dumni i samotni, świadomi renegeci; niech biali się wstydzą, że wygrali wojnę. Pytanie o preferencje tworzyło podstawowe kryterium oceny moralnej. Pytaliśmy nowo poznanych: jesteście za Indianami czy za kowbojami? Odpowiedź była decydująca; dawała początek przyjaźni lub kres znajomości. Dzisiaj zdarza się ludziom pytać podobnie: na kogo głosowałeś w ostatnich wyborach?

Pamiętam, jak odtrąciliśmy Krzyśka, gdy w szkołach i na podwórkach zaczęła się moda na formowanie załóg *Czterech pancernych i psa*. Trzeba było zebrać ekipę, wysłać zgłoszenie do telewizji. Któregoś dnia narozrabialiśmy wszyscy na przerwie. Nauczyciel grzmiał i groził; przyznaliśmy się dumnie do winy, Krzysiek nie. Nie mógł zostać pancernym; „zdradziłeś Apaczów, zdradziłeś Winnetou”, usłyszał. Był to zapewne najuczciwszy okres w naszym życiu. Kodeks Winnetou obowiązywał wszędzie, oddawaliśmy pomyłkowo wydaną resztę, byliśmy Idealnymi Sportowcami, przyznawaliśmy się w trakcie meczu do zagrań ręką, do fauli popełnionych na boisku. Sport nadawał się wyjątkowo do realizacji kodeksu; nigdy nie mieliśmy najmniejszych zatargów sędziowskich; byliśmy gotowi ustąpić nawet przed niesprawiedliwością, by nie naruszyć wzniosłego spokoju prawdy, którą zdawało się nam w sobie nosić. Grzeczność Winnetou (*Czerwonoskóry dżentelmen*, brzmiał podtytuł przedwojennego wydania), jego ludzkość (zrezygnował nawet z brania skalpów) przemieniała się w etos prawa i w pochwałę postawy obronnej („co zaczynasz?”, mawiało się wtedy, gdy ktoś szykował się do jakiejś hecy; otóż my nigdy nie „zaczynaliśmy”), a nawet w pacyfizm; moja dość cherla-